

Wanda Chwastowska-Bystram

W czepku urodzona : (Lwów
1939-1945)

Niepodległość i Pamięć 6/1 (14), 153-174

1999

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Wanda Chwastowska-Bystram

W czepku urodzona* (Lwów 1939-1945)

1. Przeżycia wojenne i okupacyjne

1 września 1939 r. o świcie, wojska niemieckie wtargnęły na polską ziemię i tak rozpoczęła się II wojna światowa.

Mieszkańcy Lwowa, podobnie jak i większość Polaków żyjących w naszej Ojczyźnie, do ostatniej chwili łudzili się, że to nie nastąpi, więc zaskoczenie było ogromne i bardzo bolesne. Miasto, w którym mieścił się największy garnizon Małopolski Wschodniej nie był przygotowany do działań wojennych, liczone, że samo położenie na krańcach wschodnich, daleko od linii frontu, daje rękojmię bezpieczeństwa, dopiero więc po kilku dniach zaczęto organizować obronę.

Szwagier mój Tadeusz Kern kpt. 6 p. lotniczego w dniu wybuchu wojny miał zgłosić się do szpitala, by przejść operację, lecz gdy nad ranem usłyszał warkot obcego samolotu lecącego nad miastem, zrezygnował z zabiegu i zamiast do szpitala pojechał na lotnisko. Słuch go nie mylił, był to niemiecki samolot zwiadowczy. Na krótko przed godz. 11⁰⁰ pierwsze bomby spadły na Lwów niszcząc Główny Dworzec Kolejowy, lotnisko na Skniłowie i ulice prowadzące do tych obiektów.

Niemcom zależało na przecięciu komunikacyjnych połączeń z zagranicą, a ponieważ prawie wszystkie drogi kolejowe na terenie Małopolski Wschodniej prowadziły przez Lwów, więc często go bombardowano, czasami i dwukrotnie w ciągu jednego dnia, a liczebność eskadr dochodziła do kilkunastu samolotów bombowych.

Lwów był największym skupiskiem Polaków w tej części kraju. W miastach i miasteczkach - nie mówiąc już o wsiach położonych na południowy wschód od Lwowa - rosła liczebność mniejszości narodowych, co stanowiło niebezpieczeństwo dla ludności polskiej.

Ukraińcy chcieli przyłączyć tę część naszego obszaru do swoich ziem i dlatego wywiad niemiecki miał w ludności ukraińskiej zaufanych popleczników i otrzymywał od niej donosy o lokalizacji i ruchach polskich wojsk.

Ludność miasta była głęboko patriotyczna, natychmiast zgłosiła swą gotowość do walki i wszystkie poczynania obronne hojnie wspierała materialnie. Pułki stacjonujące w mieście wyruszały na front, tworzone ochotnicze oddziały z ludności cywilnej, a nawet tak jak w 1918 r., w czasie walk polsko-ukraińskich, gen. Roman Abraham

* Część pierwsza wspomnień pt. "W czepku urodzona. AK Lwów - więzienie - łagry Uralu". Druga część zostanie opublikowana w jednym z następnych numerów "Niepodległości i Pamięci" [red].

(ówczesny rotmistrz prowadzący obronę Lwowa) zwolnił z aresztu "batiarów" więzionych za drobne przestępstwa, tak i tym razem uczyniono to z równie dobrym skutkiem.

W mieście na skutek bombardowań przerwała pracę elektrownia, gazownia i wodociągi miejskie. Wodę pobierano ze studni artezyjskich, więc dniem i nocą stały tam długie kolejki. Z chlebem też było ciężko, gdyż liczba mieszkańców Lwowa zwiększyła się o 100 tysięcy uchodźców przybywających z terenów zajmowanych przez wroga - i mimo dobrze zorganizowanego dodatkowego wypieku chleba, zaczęło go brakować, tak dla ludności cywilnej, jak i dla nowo formujących się służb miejskich, a nawet dla wojska.

W naszej kamienicy mieszkał prawnik Antoni Chmura, który jako por. rezerwy dowodził plutonem piechoty i razem z dwoma innymi oddziałami organizowali punkt obrony na Bogdanówce, dzielnicy usytuowanej na zachodnim krańcu miasta, za rogatką Gródecką. Antoni Chmura, przed wojną często pomagał mojej Matce w administracji domu, teraz gdy przysłał wiadomość, że w plutonie brak żywności, a zwłaszcza chleba i papierosów, postanowiliśmy przyjść im z pomocą. W naszej kamienicy były sklepy: mięsny, spożywczy, piekarniczy, drogeryjny i tytoniowy. Zakupiliśmy co się tylko dało, i z uzyskanym prowiantem, wraz z bratem, pojechałam do nich.

Żołnierze byli tak głodni, że zdarzały się wypadki rozbijania sklepów w poszukiwaniu żywności.

W czasie naszego tam pobytu, które miało miejsce 12 września około godz. 14⁰⁰, nagle na szosie ukazały się dwa motocykle, a gdy podjechały bliżej wówczas zorientowaliśmy się, że siedzą na nich niemieccy żołnierze. Zaskoczenie było ogromne i chyba obustronne. Oni ujrawszy nas, natychmiast zawrócili i za zakrętem zniknęli. Jak potoczyły się dalsze wypadki wiem już tylko z opowiadań, bo nam kazano wracać do domu. W niedługim czasie po naszym odjeździe nadjechało kilka niemieckich motocykli i kilkanaście samochodów. Po rozbiciu polskich dział, wzmocnieni nadciągającą piechotą, przedarli się wąskim klinem ul. Gródecką, aż do kościoła św. Elżbiety, skąd jednak po pewnym czasie zostali wyparci. Miasto było prawie całkowicie otoczone przez wojska niemieckie, ciężkie walki toczyły się na przedmieściach i w okolicach, lecz do śródmieścia ich nie wpuszczono. Po mniej więcej dwóch tygodniach od rozpoczęcia działań wojennych, zaczęły przybywać polskie oddziały wzmacniając siły obrońców miasta.

Ppor. Chmura po uzupełnieniu plutonu nowymi żołnierzami i sprzętem otrzymał stanowisko na Cmentarzu Łyczakowskim. Pewnego dnia przejeżdżając na motorze pod naszymi oknami "zameldował", że po kilkunastu noclegach spędzonych na czuwaniu postanowił odpocząć, ułożył się między grobami mego Ojca i Luni Drexler - rzeźbiarki wierząc, że oni będą czuwać nad nim i jego żołnierzami.

Nie omylił się, w tę noc wreszcie spał spokojnie.

W siedemnaście dni po rozpoczęciu działań wojennych, zgłosił się do nas podoficer niewielkiego oddziału z zapytaniem, czy może zająć dla swojej jednostki frontowe pokoje i ustawić w jednym z nich ciężki karabin maszynowy. Matka zgodziła się bez chwili wahania. Z balkonu i okna narożnego pokoju rozciągał się daleki widok w głąb ul. Łyczakowskiej, która wiodła ze śródmieścia na wschód, aż do peryferii miasta. Zaskoczyło nas i mocno zdziwiło, że przy ustawianiu karabinu lufę skierowano w stronę wschodnią, gdyż Niemców raczej należało spodziewać się z zachodu. Wówczas podporucznik wyjaśnił nam, że tego dnia tj. 17-go września, wczesnym rankiem oddziały Armii Czerwonej przekroczyły wschodnie granice Polski i kierują swe wojska

w stronę Lwowa. Niemcy jednak do ostatnich dni nie rezygnowali ze zdobycia miasta, natomiast strona polska choć świadoma, że sytuacja stała się beznadziejna broniła się nadal.

Armia Czerwona wkroczyła do Lwowa 22 września około godz. 14.00. Równocześnie z ukazaniem się wojsk radzieckich pod naszymi oknami, żołnierze stacjonujący w mieszkaniu otrzymali rozkaz likwidacji punktu obronnego. W takiej sytuacji, nie mogli już wyjść na zewnątrz kamienicy w mundurach i pełnym uzbrojeniu, więc lokatorzy przyszl im z pomocą przynosząc cywilne ubrania. Ciężka broń została zakopana na podwórzu, drobniejszą ukryliśmy na strychu.

Nie wiadomo jak potoczyłyby się dalsze losy Polski, gdyby na naszą ziemię nie wtargnęła Armia Czerwona. Dwóch agresorów - to o dwóch za dużo, więc musieliśmy się poddać.

Po wejściu Sowietów, chwyciłam się różnych prac, nie zawsze związanych z przymysłem artystycznym. W pierwszych miesiącach zahaczyłam się w szkole tzw. "Dziecięciolacce", gdzie uczyłam rysunków. Kiedyś z papierów ozdobnych wykonałam białego orła w złotej koronie i powiesiłam go w czasie ćwiczeń lekcyjnych do odrysowania. Na skutek tego zostałam dyscyplinarnie zwolniona z zaznaczeniem, że powinienam im dziękować za wyrozumiałość.

"Przekwalifikowałam" się wówczas na pracownicę fizyczną. Zatrudniona zostałam w Artelu ogrodniczym i zlecano mi różne zajęcia. W jednym szatkowałam i ugniatałam w beczkach kapustę. W innym, kierowanym przez Antoniego Klimowicza, byłego właściciela tego ogrodu, kopałam, plewiłam, podlewałam itp. Zwolnił on pracownice wiejskie, a w ich miejsce przyjmował osoby pochodzące z inteligencji, które pozostawały bez pracy w swoich zawodach. Siostrze mojej (żonie oficera lotnictwa, przebywającego w Anglii) chcąc ją ochronić przed wywiezieniem w głąb ZSRR, zezwalał nocować w szklarni, wiedząc, że naraża tym bezpieczeństwo własnej rodziny.

W okresie wiosennym dołączono mnie do grupy dziewczyn, które sadziły rozsądę kalarepy za murem Cmentarza Łyczakowskiego. Prawdopodobnie było to miejsce, gdzie w dawnych czasach chowano samobójców, gdyż przekopując ziemię natrafiliśmy na kości ludzkie, które skrzętnie zebraliśmy do skrzynki i zakopaliśmy głęboko w ziemię.

W czasie tej pracy byliśmy świadkami przedziwnej sceny, która głęboko utkwiała mi w pamięci. Pewnego dnia ulicą Świętego Piotra szedł pogrzeb. Na ciężarówce w otwartej trumnie, wyłożonej czerwonym materiałem, wieźli nieboszczyka - oficera radzieckiego, w pełnym umundurowaniu. Nagle usłyszałyśmy krzyk biegnącej kobiety. Okazało się, że to jego żona w ostatniej chwili zdążyła przyjechać na pogrzeb. Wskoczyła na wóz, dopadła nieboszczyka i na oczach całego konduktu zaczęła mu ściągać z nóg oficerskie buty. W następnych latach jeszcze nieraz spotykałam się z dużym zainteresowaniem butami u obywateli Związku Radzieckiego.

Na początku rządów niemieckich zostałam przyjęta do pracowni zatrudniającej liczną grupę artystów i rękodzielników. Wykonywaliśmy przedmioty upiększające wnętrza mieszkań, takie jak: gobeliny, kilimy, batiki na materiale i drewnie, haftowane obrusy i pościel, abażury itp. Był też dział meblowy. Pewnej nocy, dyrektor Niemiec, wyjechał wraz z nowo wykonanymi eksponatami, pozostawiając nas bez pensji i bez pracy. Zmieniłam fach, zgłosiłam się do szpitala i zostałam "salową".

We Lwowie dały się odczuwać duże braki żywnościowe, chcąc pomóc rodzinie wyjechałam pod Zbaraż i tam w majątku Szelatycze objęłam nadzór nad ogrodem, kuchnią, przetworami owocowymi i mlecznymi oraz hodowlą drobiu. Paczki wysyła-

łam do domu, a na okres wakacji szkolnych wzięłam do siebie młodszego brata. Wieś była przeważnie zamieszkała przez Ukraińców, niemniej wydawało mi się, że jestem lubiana i nic złego od nich spotkać mnie nie może, choć wiedziałam, że czasy są niespokojne. Pewnego letniego dnia 1943 r. o świcie zapukał do moich drzwi jeden z fernali, mieszkający w czworakach na zapleczu zabudowań gospodarczych. Pochodził z mieszanego małżeństwa polsko-ukraińskiego, miał liczne potomstwo, o które dbałam specjalnie przy wydawaniu prowizji, czym widocznie zaskarbiłam sobie jego wdzięczność. Przyszedł i radził, abym natychmiast uciekała, gdyż w każdej chwili mogą nadejść ludzie zrzeszeni w Ukraińskiej Powstańczej Armii (UPA) by mnie zamordować.

Zaproponował swoją pomoc. Dwór z całym zapleczem gospodarczym był usytuowany na wznesieniu. Ponieważ do gościńca droga prowadziła wzdłuż pierwszych zabudowań wsi, wyjechał z rzeczami sam, ja zaś, by nie zostać zauważoną na furmance, zbiegłam sadem. W umówionym miejscu spotkaliśmy się. Pocziwie chłopisko siedział na koźle - gotów był odwieźć mnie na stację. Zdając sobie sprawę, ile już zrobił dla mojego bezpieczeństwa i jak bardzo naraża siebie i swoją rodzinę, kazałam mu wracać do domu, a sama wzięłam lejce i ruszyłam w dziesięciokilometrową drogę.

Były to czasy, gdy w cienistych lasach kryła się nie tylko partyzantka polska. Szukały tam schronienia radzieckie oddziały, działające na zapleczu frontu, dezernerzy niemieccy, różne bandy rabusiów, a zwłaszcza UPA, wciąż rosnące w siłę i zwiększające swoją zbrodniczą działalność na wschodnich terenach Polski. Przejeżdżałam przez las pod ostrzałem takich właśnie zwalczających się grup, i choć kule gwizdały wokół, szczęśliwie dojechałam do Zbaraża. Zgodnie z umową zostawiłam wóz oraz konie na dworcu i pociągiem powróciłam do Lwowa.

W czasie okupacji niemieckiej większość moich znajomych pracowała przy produkcji szczepionek przeciwtyfusowych. Instytut prof. Rudolfa Weigla miał już przed wojną sławę światową. Niemcy dodatkowo utworzyli zakład Boeringa i tam - po powrocie do domu - zostałam przyjęta do preparatorni. Pod mikroskopem wstrzykiwało się wszom, w odbytnicę, zarazki tyfusu. Następnie karmiliśmy je własną krwią, przykładając klatki z tysiącami wszy wokół swoich ud i przytrzymywali opaską gumową. Po kilku dniach karmienia już zakażone tyfusem wszy preparowaliśmy przygotowując materiał do trzech rodzajów szczepionek: z kiszek, kału i tułowia (głowy odrzucając). W tej pracy utrzymałam się aż do ewakuacji Instytutu, tj. do wiosny 1944 r.

W ostatnich tygodniach przed powtórny wejściem Sowietów do Lwowa, piekłam ciasteczka na potrzeby małej kawiarenki.

27 lipca 1944 r. armia radziecka wraz z oddziałami Wojska Polskiego weszły do Lwowa i rozpoczął się przymusowy pobór do armii Berlinga. W ramach tej akcji został zmobilizowany mój brat, choć nie ukończył jeszcze osiemnastu lat. Powołano również męża mojej koleżanki. Postanowiłyśmy więc pojechać ich śladem, by przekonać się naocznie o losach rekrutów.

Z końcem sierpnia pociągi osobowe jeszcze nie kursowały. Usadowiłyśmy się na odkrytej platformie pociągu towarowego, lecz wyrzucono nas stamtąd. Na szczęście Rosjanin obsługujący parowóz zgodził się przewieźć nas na węglu za skromną opłatą jaką stanowiła pajda chleba, ogórek i papierosy.

W Jarosławiu, w kancelarii placówki wojskowej oświadczone nam, że z tego naboru zatrzymano trzech lwowiaków, a pozostałych odesłano do Lublina. Na 200 km trasie między Jarosławiem a Lublinem połączenia kolejowe jeszcze nie zostały uruchomione. Torv były zniszczone, brak taboru i ludzi. Wojna trwała.

W tej sytuacji zdecydowałyśmy się ruszyć pieszo. Szłyśmy śladem poborowych, według wskazań napotkanych ludzi. Noce przesypanyśmy w szopach lub na stogach siana. Tak dotarłyśmy do Lublina. Rekruci zostali zakwaterowani na Majdanku, w byłym obozie koncentracyjnym, niedawno opuszczonym przez więźniów. Atmosfera śmierci czaiła się wokół. Piece krematoryjne były jeszcze ciepłe, a popiół ze spalonych ciał dymił. Na placach kałuże, błoto i rozrzucone resztki odzieży. Młodzi ludzie chodzili zmęczeni, przygnębieni a nawet zastraszeni, wielu z nich dezercerowało. Naszych chłopców tam nie było. Do głębi wstrząśnięte widokiem obozu i wybranym miejscem do formowania wojska polskiego, głodne, brudne, bez pieniędzy, postanowiłyśmy zaniechać dalszych poszukiwań i wracać do Lwowa.

W domu zastałyśmy karteczki z zawiadomieniem, że wraz z większą grupą kolegów, zatrzymano ich w Jarosławiu w celu stworzenia garnizonu miasta. Po kąpieli i nocy przespanej w łóżku zapomnialyśmy o zmęczeniu i ruszyłyśmy w drogę. Poszukiwania prowadzone wśród napotkanych żołnierzy, z pominięciem drogi służbowej, dały dobre rezultaty. Odnalazłyśmy ich i zaproponowałyśmy wspólną ucieczkę do partyzantki. Brat stanowczo odmówił, gdyż dezercja groziła prześladowaniem rodziny. Wiadomości z terenu o represjach i wywózkach w głąb ZSRR napływały do nich coraz częściej. Koleżanka i jej mąż zdecydowali się i zgłosili do oddziałów leśnych.

Po pół roku rekructwa 10 kwietnia Brat mój zdał egzamin do I Oficerskiej Szkoły Artylerii w Chełmie Lubelskim. Po niedługim czasie otrzymaliśmy zawiadomienie: "Mieczysław Chwastowski urodzony 21 grudnia 1926 roku, zmarł 4 maja 1945 roku wskutek zapalenia mózgu". Na próżno rodzina starała się uzyskać bliższe dane o przebiegu choroby oraz domagała się zwrotu osobistych rzeczy. Nie było odnośnego zapisu w księdze cmentarnej, ani też nie udało się odnaleźć grobu.

Pewnego dnia do Matki przyszedł młody człowiek, przedstawił się jako kolega jej syna i podał odmienną wersję śmierci. Powiedział, że brat mój wraz z grupą kolegów odmówili wykonania rozkazu sprzecznego z ich patriotycznym uczuciem i godnością żołnierza polskiego. W konsekwencji zostali karnie wysłani w rejon rzeszowski do walki z oddziałami UPA. W nierównej liczebnie potyczce wszyscy Polacy zginęli.

2. Służba w Armii Krajowej

W szeregach Armii Krajowej wstąpiłam jesienią 1943 r. i zostałam przydzielona jako łączniczka w Referacie Lotnictwa pod rozkazy dowódcy mjr Bernasia z 6 p.lot. Od stycznia 1944 r. dyspozycje otrzymywałam również od przybyłego z Anglii skoczka kpt. Zygmunta Policiewicza. Rozkazy i pocztę odbierałam w domu Emilii Heller na Zofiówce. Przyjęłam pseudonim "Mietka".

Chcąc godnie wkupić się do oddziału postanowiłam przenieść broń przechowywaną w naszym domu od 22 października 1939 r. Czwarty rok dobiegał końca, a nikt po nią się nie zgłosił. Wyjęłam ze schowka na strychu dwa karabiny i aby na ulicy nie zwracać uwagi wielkością przenoszonego bagażu owinęłam je w papier, związałam sznurkiem i ruszyłam w drogę. Nagle zaskoczyła mnie ulewa, więc schroniłam się w sieni pobliskiej kamienicy, do której po chwili weszło dwóch podejrzanie wyglądających osobników. Nie mogąc ryzykować zaczepki z ich strony, tym bardziej, że papier wciąż mocniej przemakał i rozrywał się, nie zważając na rześysty deszcz poszłam dalej, a broń coraz bardziej wylaniała się z okrycia. Pobiełam więc do znajomego sklepu papierniczego, prosząc o pomoc. Właściciel na widok broni już tylko owinętej sznurkiem zdrtwił i zaniemówił. Natomiast pospiesznie podszedł do mnie starszy pan, robiący w sklepie zakupy, pomógł w pakowaniu, a żegnając się życzył na dalszą drogę dużo szczęścia - dodając z przemiłym uśmiechem:

- I trochę więcej rozwagi.

Bez dalszych przeszkód dotarłam na miejsce przeznaczenia, a następną dostawę owinęłam już staranniej.

O pracy nowo przyjętej łączniczki trudno pisać dużo. Tu zanieść, tam odebrać, a wszystkie spotkania odbywały się na wcześniej wyznaczonych, ogólnie dostępnych miejscach, w parkach, na dworcach, czy przy zbiegu dwóch ulic, dla łatwiejszego rozpoznania się.

Pierwsze "poważne" zadanie przyjął z radością i dużym zaangażowaniem. Polecono mi znaleźć bezpieczny punkt, mający na celu spotkanie mjr Bernasia z nieznanym mi z nazwiska ani pseudonimu, ale jak zdołałam zauważyć, wysokiej rangi oficerem.

Bez trudu zdobyłam dobre locum w malutkiej cukierce, mogącej pomieścić zaledwie cztery stoliczki. Prowadziły ją i obsługiwały gości dwie panie, moja przyjaciółka Dagmara, bratanica poety Micińskiego i Zocha, żona Henryka Greba, który pod pseudonimem "Obuch" pisywał do Gazety Lwowskiej pełne humoru wiersze i poczytne fraszki wykpiwające niedogodności życia codziennego mieszkańców Lwowa w okupowanym przez najeźdźców mieście. Tworzył też świetne wiersze satyryczne okpiwające Niemców, ale w tych czasach nie mogły być publikowane. W latach 1940-41 był wywieziony na przymusowe roboty w rejon Uralu do Niżnego Tagiłu. Jeden wiersz z tego okresu jest mi bliski, bo nieobce były dla mnie te strony i miewałam podobne uczucia.

(...) gdzie w dziejach mej podróży dzisiaj się zagrzebię
Pomyślę o wszystkich cierpieniach tej drogi,
O śladach co robiły pokrwawione nogi,
O głodzie, brudzie, nędzy, całej poniewierce!
Nie wiem, czy zdołam zagłuszyć oszalałe serce,
Czy potrafię mu taki opór przeciwstawić
By nie wybuchła twarda, okrutna nienawiść.

Wracając do cukierenki, o której była mowa, została ona założona przez Zochę z myślą o poetach zrzeszonych w konspiracyjnej grupie "Żagiew", by mieli gdzie prowadzić długie dysputy i dzielić się swoimi nowo-stworzonymi wierszami. Panowała tam pogodna literacko-artystyczna atmosfera i to właśnie tam - w razie potrzeby - użyczano mi jeden stolik na organizowanie spotkań AK-owców, a ja w podzięcie rewanżowałam się gospodyniom pomagając im w wyrabianiu lodów, kręconych ręcznie na zwykłej domowej maszynie.

Gdy wojska niemieckie pod naporem wojsk sowieckich wycofywały się ze wschodnich terenów Polski, żołnierze AK weszli w otwartą walkę z Niemcami, oznaczoną kryptonimem "Burza". We Lwowie akcja ta rozpoczęła się 22 lipca 1944 r. i dowództwo zakładało, że walki prowadzone będą równoległe z działaniami Armii Czerwonej. Po wejściu Sowietów na teren Lwowa, ich generał wezwał na rozmowy polskich oficerów i zażądał od nich podporządkowania się jego rozkazom, tj. rozwiązania Armii Krajowej i przejścia żołnierzy do Armii Berlinga lub Armii Czerwonej. Aby nie dopuścić do przelewu krwi, gen. Filipkowski wydał rozkaz oddania broni i rozwiązania oddziałów. 31 lipca gen. Iwanow wezwał dowódców niby na odprawę, powinno było się stawić 60 oficerów, na szczęście przyszło niewiele ponad dwudziestu. Nagle, w czasie rozmowy pułkownik zastępujący generała wstał, krzyknął "ruki w wierzch" wbiegli bojcy uzbrojeni w pepesze i wszystkich Polaków zatrzymano.

Od tego dnia rozpoczęły się - tak dobrze znane z poprzedniej ich bytności - stałe aresztowania, bolesne przesłuchiwania i wielkie wywózki.

Oddziały AK, które nie ujawniły się, znów weszły w podziemie i postanowiły mimo wszystko walczyć. Wolność była narodowi polskiemu zawsze bardzo droga. Organizacja przyjęła nową nazwę "NIE". Słowo to znamionowało NIEPODLEGŁOŚĆ i równocześnie wyrażało sprzeciw odnośnie sytuacji w jakiej się znaleźliśmy.

Referat Lotnictwa, w którym do tej pory służyłam, będąc ich łączniczką, został rozwiązany. Ponieważ kilka znanych mi osób z dowództwa łączności radiowej nie podporządkowało się rozkazom sowieckim i nadal prowadziło powierzoną im pracę w konspiracji zgłosiłam u nich chęć wzięcia udziału w walce z wrogiem.

Oddział V Łączności Operacyjnej rozpoczął swą pracę wiosną 1942 r. Przybył wówczas wysłannik z Warszawy, ppor. rez. inż. Czesław Mejro¹, pseudonim "Szprotka" (mąż mojej kuzynki), który zorganizował na terenie Lwowa tajną radiostację nadawczą. W pierwszym okresie swojej działalności, stacja mieściła się w mieszkaniu inż. Aleksandra Drexlera (brata mojej Matki), przy ul. Grottgera 1. Tam również znaleźli schronienie radiooperatorzy: absolwent Akademii Wojskowej, kpt. sł. st. Marian Schmidt² i ppor. rez. inż. Waclaw Olczak³, pseudonim "Henryk", były pracownik FAE w Zakładach Szpotańskiego. Zostali oni oddelegowani z Warszawy dla uruchomienia i początkowej obsługi radiostacji, która utrzymywała łączność operacyjną z Warszawą i niekiedy pośredniczyła pomiędzy Lwowem a Londynem lub Kairem.

Współdziałał z nimi ppor. rez. inż. Julian Stefan Wiktor. Urodził się w 1910 r. we Lwowie, gdzie na Politechnice ukończył Wydział Mechaniczny, dział elektrotechniczny. Zmobilizowany w 1939 r. jako oficer zwiadowczy, brał udział w walkach z Niemcami, w Lasach Janowskich. W styczniu 1940 r. wstąpił do podziemnej organizacji wojskowej, a przy reorganizacji ZWZ na AK, wszedł do Sztabu Komendy Okręgu Lwowskiego.

W październiku 1943 r. Oddział V Łączności Operacyjnej organizował jednostkę transportowo-magazynowo-naprawczą (Park Łączności) i wtedy powołano inż. Wiktora na stanowisko dowódcy. Wówczas używał on pseudonimu "Adam".

Do zadań "Parku" należało: konstruowanie i rozmieszczanie różnego typu skrytek, rozdział i magazynowanie sprzętu pochodzącego ze zrzutów, jak również zdobytego na wrogu, lub ze sklepów i kas będących w dyspozycji okupanta. Warsztaty konspiracyjne posiadały kilka działów, między innymi: rusznikarstwo, naprawy różnorodnego sprzętu wykorzystywanego w łączności, ładowanie akumulatorów używanych w czasie nadawania depeš oraz na potrzeby motoryzacji. Do "Parku" należało również werbowanie chętnych do pełnienia służby łącznika, przydzielanie ich do poszczególnych sekcji i wyznaczanie zakresu obowiązków.

Praca łącznika polegała na roznoszeniu lub rozwożeniu rozkazów i sprzętu do innych punktów położonych na południowo-wschodnich terenach Polski, w obrębie województw: lwowskim, stanisławowskim i tarnopolskim będących w zakresie działań naszego oddziału. Łącznicy przeprowadzali AK-owców nie znających danego miasta do wyznaczonego im przez organizację punktu. Oni niejednokrotnie wyszukiwali lokale na założenie skrytek lub locum w rodzinie, która zgodziła się na chwilowe przetrzymywanie osób zmuszonych do ukrywania się itp.

1 Inż. Czesław Mejro, po wojnie profesor Politechniki Warszawskiej.

2 Kpt. sł. st. Marian Schmidt, po wojnie ukończył Politechnikę Warszawską (zmarł tragicznie ok. 1960 r.).

3 Inż. Waclaw Olczak, aresztowany wiosną 1943 r. Przez rok więziony we Lwowie, na Łackiego. Został stracony w obozie w Stutthof.

W 1944 r. inż. Wiktor został odznaczony Srebrnym Krzyżem Zasługi z Mieczami. Po akcji "Burza" objął funkcję szefa Oddziału V Sztabu Komendy Obszaru południowo-wschodniego w organizacji "NIE", która była kontynuacją działalności AK w tej części Małopolski.

Rodzinę Juliana Wiktora i jego żony Jadwigi Kühnel znalazłam od wczesnej młodości. Gdy rozpoczęłam pracę w oddziale, mieli już córkę Marię, druga, Anna przyszła na świat w dwa miesiące po aresztowaniu ojca.

Komendant był dowódcą cieszącym się wielkim autorytetem i dużą sympatią u swoich podwładnych, wydawał rozkazy przemyślane i nie narażał ich na niebezpieczeństwo. Wszystkich traktował jednakowo, lecz rozumiał, że dla młodych dziewcząt, do których się wtedy zaliczałam, żyjących w dostatku i życzliwym otoczeniu, twarda rola żołnierza i bezwzględna dyscyplina była niekiedy uciążliwa pomimo rozumienia jej konieczności. Umiał pochwalić, ale też i ostro zganić. Pamiętam, jak pewnego dnia nie dość dokładnie wypełniłam powierzone mi zadanie, uznając je za sprawę małej wagi, a on zareagował ostro, tłumacząc, że każde polecenie dla konspiracji jest ważne, lekceważenie, najmniejszy błąd, chwila nieuwagi czy opóźnienia może pociągnąć za sobą nieprzewidziane w skutkach nieszczęście. Komendant brał na siebie pracę, którą mógł wykonać niejeden z podwładnych. Umiłowanym jego hobby była astronomia. W czasie, gdy ukrywał się w moim mieszkaniu, niejednokrotnie w ciepłe, wiosenne wieczory do późna w nocy przesiadywał na tarasie, wpatrując się w niebo. Znał chyba nazwy wszystkich gwiazd. Od jednej z konstelacji zapożyczył swój pseudonim "Orion", zwał się również "Bekas". Ja początkowo używałam pseudonimu "Mietka", a następnie "Antek".

Moja praca polegała na wyszukiwaniu punktów pośredniczących w przekazywaniu poczty, by dane łączniczki nie poznawały się wzajemnie, lub odbierały ją w dogodnej dla siebie chwili, gdyż wiele z nich pracowało zarobkowo. Szukałam chętnych do wstąpienia w nasze szeregi, lub zgody na założenie w ich domach skrytek. Jeden tylko raz odmówiono mi, a mówiąc dosadnie wyrzucono za drzwi. Chętnych zaś było dużo. Zbyszkowie Bujniwiczowie udostępnili swoje mieszkanie na spotkanie AK-owców. Podobny punkt był w malutkiej kawiarence, gdzie rządy sprawowała Zocha. W kawiarence przesiadywali głównie poeci, lecz za milczącą zgodą gospodyni organizowałam w niej spotkania komendanta z dowódcami innych jednostek i miałam tam stały punkt wymiany poczty. Cennym nabytkiem okazał się Marian Górecki, mąż naszej przedwojennej gosposi. W tym czasie pracował jako kontroler domowych liczników elektrycznych, mógł więc bez zbytecznego narażania się badać sytuację w "spalonych" mieszkaniach. Gdy zaproponowałam pracę w AK młodemu lekarzowi, zgodził się, lecz postawił warunek, aby nie powiadamiać o tym jego narzeczonej. Niestety, niedługo po tej rozmowie wyjechał do centralnej Polski, szkoda, bo każdy lekarz był na wagę złota. Pewnego dnia mieszkająca w kamienicy mojej Matki, staruszka pani Róża zorientowawszy się, że pracuję w organizacji, zgłosiła chęć pomocy, mówiąc:

- Weźcie mnie, mam zdrowe nogi, będę nosić listy pod spódnicą, a nikt starej babie nie zechce tam zaglądać.

Wiosną roku 1944 Niemcy ewakuowali ze Lwowa wiele urzędów, przenosząc je w głąb terenów Polski. Ponadto część ludności ukraińskiej i volksdeutschów uciekła do Rzeszy, dzięki czemu dużo mieszkań stało opustoszałych. Udało mi się wynająć garsonierę i w niej zamieszkałam oddzielnie, by nie narażać rodziny.

Mieszkanie przeze mnie zajęte mieściło się w kamienicy przy ulicy Snopkowskiej 13. Jedyne na najwyższym piętrze, usytuowane jakby z przeznaczeniem na użytek

konspiracji. Na podeście schodów, oprócz drzwi na strych, drugie prowadziły do mojej garsoniery, a obok nich trzecie zamykające wyjście na płaski dach. Część dachu zajmowała oszklona nadbudówka, elektrycznie oświetlana, stanowiąca oranżerię z niewielkim basenem. Reszta dachu ze zbiornikiem na wodę ogrzewaną słońcem służyła jako taras. Całość należała do mojego mieszkania i dlatego drzwi klatki schodowej zamykałam na klucz, drugi zaś egzemplarz - dla bezpieczeństwa na wypadek pożaru - otrzymała dozorczyńni. Za drzwiami prowadzącymi do wyjścia na dach były drewniane schody, a pod nimi w moim mieszkaniu znajdowała się komórka. Z komórki tej przez łatwe wyjęcie specjalnie skonstruowanego segmentu schodów, można było szybko przedostać się z mieszkania na dach bez wychodzenia na klatkę schodową. W razie obławy wystarczyło tą drogą wyjść na taras, przebiec przez dachy sąsiednich kamienic, by inną klatką zejść na ulicę.

Garsonierę moją oddałam do dyspozycji oddziału. Została zaszyfrowana jako "7 N". Dodatkowe klucze do mieszkania miał komendant, a czwartą parę przekazywałam w razie potrzeby innym członkom organizacji. Przeważnie nie spotykałam się z nimi, tylko w oznaczonym dniu zostawiałam klucze na wystającej framudze drzwi wejściowych. Jeśli zaś widziałam ich, to zazwyczaj, nie znałam nazwiska tylko pseudonim lub otwierałam drzwi na hasło. Dwukrotnie otrzymałam rozkaz opuszczenia mieszkania i nie pokazywanie się w pobliżu domu, aż do odwołania. Wiedziałam, że z tarasu ma być przeprowadzona łączność z Londynem, czy doszło do niej, nie pytałam. Przez pewien czas ukrywał się w moim mieszkaniu "spalony" AK-owiec, w podzięce pozostawił jajka w proszku i kawałeczek słoniny. Mężczyźni często wchodzili lub wychodzili z mieszkania, a lokatorzy kamienicy z zaciekawieniem podglądali przez lekko uchylone drzwi i chyba nie mieli najlepszej opinii o mojej moralności. Takie podejście maskowało faktyczny stan, więc dla dobra konspiracji nie tylko nie zaprzeczałam, ale starałam się utwierdzić wścibskich sąsiadów w ich przekonaniu.

Pracowałam społecznie w AK, a zarobkowo w firmie stolarsko-tapicerskiej, przy warsztatach tkanin obiciowych. Skontaktowałam dowódcę ze zdolnym stolarzem tam pracującym, który zgodził się po zaprzysiężeniu go w organizacji wykonać w mieszkaniach skrytki pod podłogą. Otwierało się je przez włożenie długiej, cienkiej, stalowej szpilki w prawie niewidoczny otwór wydrążony w jednej z klepek. Po naciśnięciu szpilki zamek umieszczony pod parkietem zwałniał zasuwę, umożliwiając wyjęcie wieka uzyskanego przez złączenie kilku klepek. Po zamknięciu skrytki zapastowywało się podłogę dla zakrycia ewentualnych szpar.

W moim mieszkaniu, w takim właśnie głębokim, obszernym schowku były przechowywane aparaty nadawcze, kilka granatów, pieniądze miejscowe, dolary i teczki z dokumentami. Były tam również z angielskich zrzutów zegarki i bezbaterijne wygodne latarki mające, niestety, dużą wadę, z chwilą włączenia wydawały cichy, lecz charakterystyczny dźwięk, który mógł zwracać uwagę przechodniów i narażał AK-owców na zatrzymanie ich przez służby bezpieczeństwa, dla których dźwięk ten już był dobrze znany.

Stolarz dorobił mi również podwójne dno w nocnej szafce, na czasowe przetrzymywanie dokumentów. Do przenoszenia poczty, otrzymałam wydrążony wałek do ciasta, zamykany przez wkręcenie uchwytów. W razie potrzeby nosiłam go w torbie wraz z innymi przedmiotami, używanymi w gospodarstwie domowym, a wszystko nowe, by wyglądało jak świeżo zakupione w sklepie. Do całkiem drobnej poczty tj. rozkazów pisanych na cienkim papierze, służyła i szczotka, którą otwierało się za pomocą śrubek ukrytych we włosiu.

Przy przenoszeniu większych przedmiotów trzeba było stosować różne fortele nie zawsze dające pożądaną ochronę. Zdarzały się pomysły chybione, czego sama doświadczyłam. Po wpadce łącznika znajdującego adres mieszkania należącego do Tadeuszów Olańczuków, w którym był punkt przekaźnikowy dla aparatów odbiorczo-nadawczych przeznaczonych do naprawy, skrytka oraz skrzynka korespondencyjna, lokal trzeba było natychmiast oczyścić z przedmiotów mogących wzbudzić podejrzenie i opróżnić schowek. Część rzeczy miałam przewieźć do swojego mieszkania. Powkładałam do długiego płaskiego pudła pieniądze oraz mydła, ciepłe skarpety i rękawiczki zdobyte przez AK-owców w ruskim magazynie. Pudło przymocowałam do dziecięcych sanek i okryłam kocem, a na wierzch posadziłam dwie, nieopatrznie zabrane, siostrzenice. Zimy we Lwowie były śnieżne więc bez trudu ciągnęłam ten trefny ekwipunek ulicami miasta, gdy nieoczekiwanie z przeciwnej strony jezdni nadszedł - ze śpiewem na ustach - oddział radzieckich żołnierzy. Młodsza zawołała:

- Jak ładnie wojsko śpiewa!

Siedmioletnia Irena energicznie zaprzeczyła mówiąc:

- Nie, to brzydkie wojsko, ładne będzie, jak tatuś z kolegami wróci z Anglii i zaśpiewają - tu zaintonowała: "Jeszcze Polska nie zginęła". Beata podchwyciła i dwa cienkie głosiki dziecięce zabrzmiały pełną siłą, chcąc przebić śpiew idącego wojska. Przechodnie przystawali na ulicy, jedni uśmiechali się przyjaźnie, inni przyspieszali kroku lub próbowali uciszyć dziewczynki kładąc palec na ustach. Wtedy zrozumiałam, jak ogromnie mogłam je narazić, i nigdy więcej nie angażowałam dzieci do pomocy w wykonywaniu swoich zadań.

Jednym z poleceń, jakie otrzymałam, było przewiezienie spod Jarosławia kilku pistoletów, które przekazywał dla oddziału znajomy komendant. Pojechałam z koleżanką, chcąc przy okazji zdobyć trochę żywności. Gospodarz mieszkający w małym domku z przeszlicznym ogródkiem przyjął nas serdecznie, choć trochę się zdziwił, bo witając zapytał:

- To Julek dziewczynki przysłał?

Poczęstował obiadem, a przy pożegnaniu, podając broń zalecił ostrożność. Na dworcu wskazano nam pociąg towarowy jadący w stronę Lwowa, który był zapelniony ludnością wiejską. Jechały całe rodziny z dziećmi, inwentarzem i dobytkiem. Wsiadliśmy do jednego z wagonów. Przesiedleńcy siedzieli spokojnie, w milczeniu, tylko w ich oczach czaił się strach lub świeciły łzy. Pociąg wlokł się niesamowicie, gwizdał, ruszał, przystawał. Na jednym z takich postojów niespodziewanie wskoczyli do naszego wagonu żołnierze radzieccy i rozpoczęli rewizję. Zaskoczenie było zupełne, a co gorsza, natychmiast zwrócili uwagę na mnie i na koleżankę, z którą jechałam. Miałyśmy na sobie ubrania sportowe, odmienne od odzieży wiejskiej, jaką posiadała reszta pasażerów. Kazano nam zabrać plecaki i wyprowadzono na zewnątrz wagonu, gdzie "pod opieką" dwóch strażników czekałyśmy na zakończenie rewizji. Po pewnej chwili w wagonie dał się słyszeć ruch i krzyki, więc nasi opiekunowie weszli tam na pomoc.

Zostałyśmy same, noc już była ciemna. Pociąg stał w szczerym polu i choć zorientowałyśmy się, że mamy przed sobą płaską przestrzeń, niemniej zdecydowałyśmy się na ucieczkę. Biegając napotkałyśmy głęboki rów, do którego wskoczyłyśmy. Transport odbywał się pod nadzorem, o czym nas nikt z obsługi kolejowej wcześniej nie uprzedził. W celu udaremnienia ucieczki przesiedleńcom sowieci umieścili na parowozie reflektor, którym w razie potrzeby oświetlano pociąg i jego pobliski teren. Tak było i tym razem. Pochylone, zakryte brzegami rowu, biegłyśmy, co sił starczyło w

nogach, aż dopadliśmy krzaków przydrożnych. Gdy przykucnąwszy rozważaliśmy co dalej czynić, z drugiej strony szosy doleciał do nas szept:

- Proszę przyczołgać się do mnie.

Głos był przyjazny, miły i wzbudzał zaufanie, zresztą nie było innego wyboru, więc usłuchałyśmy go.

Okazało się, że przywoływał nas chłopak z karabinem na ramieniu, pełniący nocną wartę na terenie wsi. Zapytałyśmy go, czy idąc drogą przez wieś dojdziemy do szosy prowadzącej w stronę Lwowa. Skinął głową twierdząco, lecz dodał, że opodal znajduje się posterunek NKWD, więc lepiej na noc pozostać we wsi. Poprowadził wzdłuż plotu, na tyły gospodarstwa swojej ciotki. W stodole kazał nam wejść na stertę słomy, następnie odciągnął drabinę, na widłach podał świeże pachnące siano i odchodząc zawarł wrota. Wyczerpane przeżyciami i w poczuciu obecnego bezpieczeństwa natychmiast zasnęłyśmy beztróskim, zdrowym, twardym snem młodości.

Rano przyszła siostra naszego wybawcy z wiadomością, że nocą enkawudziści przeszukali całą wieś, dom po domu. W ich gospodarstwie przeprowadzili dokładną rewizję, a brata zabrali na posterunek, gdzie do świtu był przesłuchiwany. Uprzedzono wszystkich, że każdy ukrywający szpiegów niemieckich - do których widocznie nas zaliczono - będzie karany na równi ze zbrodniarzami.

Wiadomość ta wstrząsnęła nami ogromnie. Nie zdawałyśmy sobie sprawy, jak bardzo - choć nieświadomie - mogłyśmy narazić całą wieś na represje. Podziwiałymy spryt chłopca, który ukrył nas w stodole należącej do starej kobiety będącej poza wszelkimi podejrzeniami. Dziewczyna przyniosła śniadanie i wiejskie ubrania. Na plecaki zarzuciła nam chusty, by wyglądało jak tłumok z bańkami mleka i do rąk podała koszyki z nabiałem. W takim przebraniu poprowadziła, sobie znanymi ścieżkami, do odległej stacji autobusowej, skąd pojechaliśmy w trójkę do Lwowa. W domu zwróciłyśmy pożyczone rzeczy i zapłaciłyśmy za wiejskie przysmaki.

Pełna dumy i szczęścia oddałam pistolety komendantowi.

3. Aresztowanie

Pomimo zakończenia wojny Oddział V Łączności Operacyjnej i nadal prowadził akcje w konspiracji. W celu uzyskania łączności radiowej z Londynem, na III Wólce pod Lwowem (powiat winnicki) została uruchomiona stacja nadawcza, ostatnia z działających jeszcze na naszym terenie. Depesza miała być wysłana nocą z 4 na 5 czerwca, a informacja o otrzymanym połączeniu do dowódcy nie nadchodziła. Dwukrotnie, bezskutecznie wyjeżdżałam na Rogatkę Łyczakowską, gdzie byłam umówiona z kurierką Danutą Szumer, którą poznałam w czasie organizowania tej akcji, tym razem jej nie było. Zaistniała obawa wykrycia radiostacji przez NKWD. Nie wiedzieliśmy czy nastąpiły aresztowania, czy też udało się zczasu zlikwidować punkt, a załódze zbiec. Na taką możliwość z góry było umówione dodatkowe spotkanie w centrum Lwowa, z łączniczką radiotelegrafisty, wyznaczone na 9 czerwca o godz. 17⁰⁰. Ponieważ poprzednia łączniczka ze strony komendy Hanka Skwarczyńska, utrzymująca stałą łączność z komórką radiową, została aresztowana 26 maja, funkcje jej mnie powierzono, podając równocześnie trasę, znak rozpoznawczy i hasło.

W porze obiadowej wstąpiłam do rodziny i powiadomiłam siostrę o zaistniałej sytuacji. Omówiłyśmy sprawy związane z ewentualnym aresztowaniem. W razie konieczności ukrywania się miałam pozostawić wiadomość o swoim losie w kościele ojców Bernardynów. Prosiłam również, by wszystkie uzyskane informacje natychmiast przekazywała inż. Wiktorowi. W domu dla zachowania obopólnego bezpieczeństwa nigdy nie rozmawiałam o służbie w AK i nie zdawałam sobie sprawy, że Matka wie o

mojej pracy w konspiracji. Widocznie niczego nie da się ukryć przed bystrym okiem i kochającym sercem Matki. Przy pożegnaniu mocniej przytuliła, ucałowała serdecznie, a gdy kreśliła na moim czole znak krzyża, w jej wielkich pięknych oczach świeciły łzy. Więc nie tylko wiedziała, ale przeczuła już grożące mi niebezpieczeństwo.

Wyznaczona dla mnie trasa, na której miałyśmy się spotkać, wiodła od Uniwersytetu w górę, w stronę Politechniki, wąskim chodnikiem pomiędzy jezdnią ulicy Mickiewicza a parkiem Kościuszki. Łączniczka nadeszła ze strony przeciwnej, tak jak powinna była, tym samym chodnikiem lecz z góry. Po wymienieniu znaku rozpoznawczego i hasła zaprosiła mnie do swego domu. Odmówiłam, gdyż zasadą w konspiracji było nie ujawnianie personaliów ani miejsc zamieszkania, o czym nie omieszkłam jej przypomnieć. Wówczas oznajmiła, że jest aresztowana, wypuszczona "na wabia" i obecnie znajdujemy się pod obserwacją agentów, stojących po drugiej stronie jezdni, więc wszelkie środki ostrożności są zbyt ciężkie. Na takie dictum zdecydowałam się na próbę ucieczki. Gdy powiadomiłam łączniczkę o swoim zamiarze, skinęła głową i obiecała pomodlić się na moją intencję. Skorzystałam z przejazdu auta, które oddzieliło mnie od tajniaków i rzuciłam się w głąb parku. Przebiegłam zaledwie kilkanaście kroków, gdy zagroził mi drogę osobnik, prawdopodobnie również pracownik służby bezpieczeństwa i wydał w ręce nadbiegających agentów.

Okazało się, że w czasie łączności z Londynem, radiostacja została namierzona i w wyniku przeprowadzonej obławy przez NKWD całą załogę ujęto wraz z mieszkańcami wsi, którzy służyli swym pomieszczeniem i wspomagali ochroną. Po zlikwidowaniu radiostacji i dokonaniu wstępnych przesłuchań, funkcjonariusze prowadzący śledztwo udali się do mieszkania radiotelegrafisty w celu przeprowadzenia rewizji. W domu zastali jego żonę, będącą zarazem łączniczką, z którą miałam właśnie wyznaczone spotkanie.

Po schwytaniu agencji poprowadzili mnie do Komisariatu NKWD przez park Kościuszki, gdzie ujrzałam znajomego, który szedł w moim kierunku, rozbawiony, pomiędzy dwiema paniami. Poczekałam chwilę, a gdy się zbliżył i spojrzał w naszą stronę, podniosłam ręce zakute w kajdanki i zwróciłam się do konwojentów z głośnym zapytaniem:

- To znaczy, że jestem aresztowana?

Znajomy zmieszał się ogromnie, a więc zauważył mój gest i usłyszał wypowiedziane słowa. Niestety, nikt z tej trójki nie pomyślał, aby zawiadomić moją rodzinę, toteż tą drogą nie udało mi się uprzedzić komendanta o spalonej akcji.

Po aresztowaniu wprost z parku zostałam zaprowadzona do przedwojennego gmachu MZK, mieszczącego się przy ulicy Pełczyńskiej 53/55, który już w roku 1939 został zaadaptowany na Główny Komisariat NKWD. Po zajęciu Lwowa przez Niemców, gmach przeznaczono na siedzibę gestapo, a przy następnej zmianie do rządów powróciło NKWD.

Dużo słyszałam o metodach prowadzenia śledztwa, byłam więc przygotowana na najgorsze. W czasie osobistej rewizji bardzo skrupulatnie przeprowadzonej - również na nagim ciele - poszukiwania nie dały rezultatu, gdyż idąc na spotkanie liczyłam się z możliwością aresztowania i nie wzięłam ze sobą żadnych obciążających materiałów.

Przesłuchujący spisał personalia, następnie z miną bazyliuszka i fałszywie brzmiącym głosem powiadomił mnie, że jeśli będę rozsądna, wskażę dowódcę i wydam żołnierzy z oddziału, to nie zrobią mi krzywdy i zostaną natychmiast zwolniona z aresztu.

Powyższe przemówienie śledczego nie zrobiło na mnie oczekiwanego wrażenia. Natomiast wytknęłam im fakt odebrania pierścionka i zegarka w czasie rewizji.

Śledczy udał oburzenie i kazał natychmiast zwrócić nieprawnie skonfiskowane przedmioty. Pierścionka już nie odnaleziono, a zegarek położono na biurku przesłuchującego. Zegarek był mi przydzielony ze zrzutów angielskich - wskazywał godziny, minuty i dnię, a strzałkę sekundnika miał czerwoną. Dowiedziałam się od śledczego, że dokonano szeregu aresztowań na skutek zauważenia na ręku danej osoby tego typu zegarka.

Przesłuchanie było ciężkie, trwało bez przerwy całą noc. Nie bili mnie, lecz nękali, zadając w kółko podchwytliwe pytania, na które musiałam natychmiast odpowiadać. "Oni" zmieniali się, wypoczywali, szli na przekąskę i powracali wzmocnieni. Natomiast mnie przepytawali bez chwili wytchnienia i nie podali szklanki wody. Twierdziłam, że nie znam adresu dowódcy, gdyż z zasady umawialiśmy się na ulicy lub on przychodził do mojego mieszkania. Liczyłam na to, że znajomy napotkany w parku zdążył zawiadomić moją rodzinę i informacja ta dotarła już do Juliana Wiktora. Tak minęła noc. Gdy wyprowadzono mnie z sali poprosiłam śledczego o zwrot zegarka, był to jednak zbyt łakomy przedmiot dla przybysza ze wschodu. "Czasy" otrzymały nowego właściciela.

Wczesnym rankiem zostałam przewieziona pod eskortą do mojego mieszkania, gdzie NKWD zorganizowało kocioł. Byłam naprawdę przerażona, zdawałam sobie sprawę, że pułapka ta może spowodować liczne aresztowania. Rodzina i znajomi w ciepłe słoneczne dni, wolne od pracy, przychodzili na taras, by się opalać, wykapać i przez chwilę swobodnie poplotkować.

W niedzielę 10 czerwca 1945 r., dowódca zaniepokojony losem oddziału i brakiem wiadomości od telegrafisty o połączeniu się z Londynem, postanowił wstąpić do mojego mieszkania dla uzyskania informacji, którą miałam otrzymać od łączniczki.

Rozpoznałam jego kroki, gdy wszedł na schody ostatniego piętra. Krzyknęłam ostrzegawczo i z ulgą usłyszałam, że zbiega w dół. Zaskoczeni funkcjonariusze nadzorujący mieszkanie dopiero po krótkiej chwili zorientowali się w sytuacji i wyskoczyli za nim. Prawdopodobnie ucieczka by się udała, gdyż był wysportowany i lekko ubrany, lecz z przeciwnej strony ulicy nadeszli przygodni żołnierze radzieccy, schwytali biegnącego i oddali w ręce "łapaczy".

Po przyprowadzeniu dowódcy do mieszkania, związali mu ręce do tyłu i kazali usiąść na podłodze. Mnie pozwolono ruszać się swobodnie, tylko nie mogłam podchodzić do okna, a gdy pragnęłam wejść do łazienki, kazali zostawić drzwi otwarte.

Byłam potwornie głodna, zapewne z długotrwałego napięcia nerwowego i przeżytego stresu. Zresztą ostatni posiłek, jedzony przed spotkaniem z łączniczką, obiad u mojej Matki, zaledwie przełknęłam. Chciałam więc przygotować dla nas śniadanie, przypuszczając, że Julian Wiktor jest również na czczo, gdyż niedzielami chodził z żoną do kościoła, w czasie mszy przystępował do komunii świętej. By uzyskać pozwolenie od strażników, zaproponowałam, że im również podam jedzenie. Zabronili, prawdopodobnie obowiązywało ogólne zarządzenie, dotyczące bezpieczeństwa funkcjonariuszy NKWD, jak również sposobu postępowania w stosunku do zatrzymanych przez nich osób, aby uniknąć otrucia. Nie pozwolono mi się umyć, przebrać ani też zabrać ze sobą bielizny i odzieży na zmianę. Poszłam więc w cienkiej jedwabnej sukience, którą włożyłam poprzedniego dnia, idąc na spotkanie z łączniczką. Udało mi się wziąć ręcznik frotté, którego posiadanie oddało mi niezmiernie cenne usługi w późniejszych tygodniach. W przyborach toaletowych ukryłam malutką figurkę świętego Antoniego, dla którego mam szczególny kult i dlatego w organizacji przybrałam pseudonim "Antek". Niestety, w czasie ponownej rewizji, przeprowadzonej przed zamknięciem w celi, figurkę odnaleziono i odebrano. Gdy Matka moja otrzymała zezwolenie na dostarcza-

nie paczek żywnościowych, wówczas przysłała mi medalik z Matką Boską, lecz został skonfiskowany. Następny był już dobrze ukryty i doszedł do moich rąk. Po pewnym czasie rodzina wprawiła się w "przemycaniu" niedozwolonych przedmiotów, dzięki czemu otrzymałam również małą dwu i pół centymetrową figurkę Świętego Antoniego. Te moje skarby zaszyłam w wiatrówe tak dobrze, że nie zauważone przeszły przez wszystkie obozy, a w nich przez wiele dokładnie przeprowadzanych rewizji. Nigdy nie zostały odnalezione, powróciły w wiatrówe wraz ze mną do Polski.

Na razie nie znałam swojej przyszłości, więc w opowiadaniu powracam do chwili utraconej wolności.

Z domu wraz z Julianem Wiktorem przewiezieni zostaliśmy karetką więzienną tzw. "Wroną" do gmachu mieszczącego się przy ul. Łackiego, gdzie przebywali już aresztowani w związku z wykryciem radiostacji. Każdego z nas ulokowano w oddzielnej celi abyśmy nie mogli udzielać sobie wzajemnie żadnych informacji. Z kolegami spotkaliśmy się dopiero w czasie rozprawy sądowej, a wspomagających nas w terenie byłych partyzantów sądzono miesiąc później.

4. Śledztwo

Przed wojną w gmachu przy ulicy Łackiego 1 mieścił się VI Komisariat Policji. Po zajęciu Lwowa władza radziecka zamieniła posesję na krwawe więzienie. Gdy Niemcy podchodzili pod Lwów z końcem czerwca 1941 r., sowieci w panicznym pośpiechu wycofywali się z miasta, wówczas więźniów, których nie zdołano wcześniej wywieźć wymordowano, pozostawiając bestialsko zmasakrowane zwłoki w obrębie posesji. Więzienie to pełniło rolę kaźni w czasie rządów gestapo, jak również po powrocie NKWD.

Obecnie i ja miałam się zapoznać z jego "gościnnością". Zaprowadzono mnie do budynku stojącego w głębi zabudowań i ulokowano na drugim piętrze. Cella była mała o wymiarach najwyżej dwa i pół na cztery metry, podobno przerobiono ją z boksu dla psów policyjnych. Po przeciwległej stronie drzwi znajdowało się okno, lecz zwyżajem więziennym od zewnątrz zabite deskami. Mebli żadnych, jedynie deska z kołkami służyła za wieszak. Przy drzwiach zamontowany był klozet, a obok niego mała umywalka. W godzinach południowych w całym mieście wyłączano wodę i dzięki temu zarządzeniu przez puste przewody wodociągowe, można było ściszoną głosem rozmawiać z celami połączonymi wspólnym pionem. W ten sposób zdobyte informacje przekazywałam do celi sąsiedniej, gdzie przebywała Hanka Skwarczyńska, sądzona ze mną w jednej sprawie. Rozmawialiśmy przy pomocy alfabetu Morse'a, wystukując słowa w rozdzielającą nas ścianę.

W celi przebywały już trzy aresztantki. Pod samym oknem, na złożonej wzdłuż kołdrze, siedziała najstarsza z nas Helena, żona oficera policji wywiezionego w 1940 roku do ZSRR. Wysoka, szczupła, przystojna o doskonałej prezencji. Co wieczór była wzywana na krótkie przesłuchania. Gdy w korytarzu usłyszała kroki konwojenta, zrywała się ze swojego pośłania, poprawiała suknię nerwowym ruchem, a silne wypieki wytryskiwały na jej policzkach. Nie wiem, kiedy i w jakich okolicznościach została aresztowana. Pewne światło na poglądy Heleny rzucały jej wypowiedzi. Uważała, że powinno się ujawniać żołnierzy AK, aby jak najprędzej ustała działalność podziemia, która przysporzyła tyle tragedii. I chyba tak naprawdę myślała. Na potwierdzenie głoszonej zasady przyznała się nam, że zadenuncjowała księdza Mokrzyckiego, który przyszedł do jej mieszkania w czasie, gdy był założony kocioł. Po wypowiedzeniu przez niego umówionego hasła:

- Czy to pani ma na sprzedaż poduszkę - wskazała go agentom NKWD, informując zarazem, że faktycznym powodem przyjścia księdza jest ich współpraca w AK, a nie handel. Przebywając już w więzieniu zawiadomiła śledczego, że osoba przynosząca dla niej paczki żywnościowe czyni to z ramienia oddziałów podziemnych.

Następną więźniarkę, Halinę, rzadko wzywano na przesłuchania. Podobno aresztowano ją, gdy zadzwoniła do "spalonego" mieszkania, w którym był założony kocioł. Na Uralu otrzymałam ze Lwowa list z zapytaniem, co wiem o niej, gdyż powoływała się na znajomość ze mną. Była w ciąży i prosiła o paczki żywnościowe. Nie poparłam jej prośby, może niesłusznie, ale do końca nie wiedziałam pod jakim zarzutem prowadzone było jej śledztwo. Nie nawiązałyśmy nici sympatii. Raczej tym paniom zależało na kontakcie i rozmowach z nami, lecz zaufania i informacji o naszej pracy w organizacji nie uzyskały.

Trzecia z rzędu, Jadwiga Łamasz, to młodzianka sanitariuszka i konna łączniczka oddziałów leśnych. Została aresztowana w związku z wykryciem radiostacji umieszczonej w domu jej rodziców na Wólce. Pewnego dnia, w celi z wielkim przejęciem i do głębi poruszona opowiedziała nam swój sen. Mianowicie, ukazała się jej na tle nieba Matka Boska i obiecała powrót do domu w dniu Wniebowzięcia NMP. Tak też się stało. Po trzech latach obozu 15 sierpnia wyznaczono ją do transportu powracającego do Polski.

Czwarte miejsce mnie przypadło w udziale. Było tak usytuowane, że nogi trzymałam pod umywalką, a gdy ktoś chciał z niej korzystać musiałam wstać, lub siedzieć z podciągniętymi nogami.

W celach panowała ogólna zasada kolejności zajmowania miejsc, według przybycia do niej. Dlatego to piąte, najgorsze, tuż pod samymi drzwiami, skrócone o zainstalowany klozet w rogu pomieszczenia, przypadło Zofii Kozikowskiej, energicznie wepchniętej do celi, w dwa dni po moim zakwaterowaniu. Przedstawiała obraz nędzy i rozpacz. Niesamowicie zmęczona i zmaltretowana, z rozdartą bluzką i rozpuszczonymi włosami, które były w okropnym nieładzie, lecz nie utraciły piękna. Bardzo długie i tak gęste, że mogła nimi okryć całe swoje ciało. Wielką ozdobą były na wolności, w obozie udręka, więc musiała je obciąć.

My trzy, przybyłe w ostatnich dniach, siedziałyśmy na gołej podłodze, mając na sobie jedynie cienkie sukienki, w których nas schwytano, w ciepłe czerwcowe dni.

W celach wolno było rozmawiać tylko szeptem, ale o czym tu mówić, gdy się o sobie nic nie wie i jeśli brak wzajemnego zaufania. Nie wiedziałyśmy, czy rozmowy nie dotrą do śledczych za pośrednictwem nie rozszyfrowanych przez nas "wtyczek". Dnie wlokły się monotonnie. Nie pozwalano leżeć, a tym bardziej spać, co było specjalnie dokuczliwe po powrocie z kolejno po sobie przeprowadzanych nocnych przesłuchań.

Tych wszystkich rozkazów i zakazów pilnował strażnik pełniący służbę na korytarzu. Co pewien czas podsłuchiwał pod drzwiami i zaglądał przez wizjer, popularnie zwany "judaszem". Na każdy żywszy odruch i głos reagował krzykiem, równocześnie stukając w drzwi. Niczym nie osłonięta żarówka, umieszczona nad drzwiami, rzucała jaskrawe światło przez całą noc, co ogromnie męczyło oczy. Nie pozwalano odwracać się od niej, ponieważ wartownik musiał widzieć nasze twarze. Paczek żywnościowych żadna z nas nie otrzymywała. Helena sama z nich zrezygnowała, ujawniając dostawcę. Pozostałym administracja więzienna, w obawie przed przemycaniem grypsów, nie wydała zezwolenia ze względu na dobro śledztwa.

W budynku znajdującym się wewnątrz posesji, pomieszczenia były przeznaczone wyłącznie na cele. Tam przez całą noc panowała obowiązkowa tajemnicza, groźna cisza, raptownie przerywana ciężkimi krokami żołnierskich butów, którym zazwyczaj towarzyszyło lżejsze, nerwowe stąpanie więźnia, wyprowadzanego na przesłuchanie. Od kolacji nastrój przygnębienia wzmagał się, każdy ruch na korytarzu wywoływał lęk i niepokój. Liczyło się kroki strażnika, gdyż orientowałyśmy się po nich, którą celę omija. Wraz ze zgrzytem otwieranej zaşuwy serce podchodziło do gardła. Konwojent stawał w drzwiach i mówił - na przykład w moim przypadku:

- na literę h.

Moja odpowiedź brzmiała:

- Chwastowska Wanda Mieczysławowna.

Jeżeli wymienione nazwisko zgadzało się ze zleceniem wypisanym na kartce przez śledczego, wyprowadzał delikwenta, jeśli nie, powtarzał pytanie. Gdy nikt się nie zgłosił po powtórnie wymienionej literze, szukał w innych celach. Ten system utrzymywał w tajemnicy nazwiska osób przebywających w więzieniu. Gdy konwojent trafił na wyznaczonego więźnia i miał go zaprowadzić na przesłuchanie, mówił:

- Wychodź.

Natomiast - przy wyprowadzaniu z celi na stałe, formułka brzmiała:

- Zabieraj się z rzeczami.

Nigdy jednak nie informował dokąd ma go zaprowadzić.

Idąc na przesłuchanie lub z niego wracając, więzień musiał się zatrzymać przed każdym zakrętem i stać zwrócony przodem do ściany, aż do chwili sprawdzenia przez obsługę, czy droga jest wolna. Nie dopuszczano do spotkań aresztantów twarzą w twarz. Nie wolno było rozglądać się, a ręce należało trzymać założone do tyłu. Pomimo ostrych kar, często na przekór rozkazom, łamałam obowiązujące przepisy.

Przesłuchania przeprowadzano we frontowym głównym gmachu, w godzinach nocnych - i nieraz trwały aż do rana. Panował tam stały ruch, trzaskanie drzwiami, wrzaski i przekleństwa. Nierzadko owe głosy mieszały się z rozpaczliwym krzykiem bólu bitych więźniów.

Początkowe przesłuchania mogę zaliczyć do łagodnych. Rzadko byłam wzywana na śledztwo i dość szybko powracałam do celi. Głównie nekano mnie pytaniami, z kim się spotykałam, gdzie i komu przekazywałam pocztę. Stale bacznie kontrolowałam swoje odpowiedzi, by zeznania wyglądały na prawdopodobne, a będąc łączniczką musiałam się z kimś spotykać. Mieszkając przez siedemnaście lat tuż przy parku Kilińskiego, poznałam dobrze jego rozległe tereny, z wszystkimi ścieżkami i zakamarkami. Z łatwością mogłam więc szybko wymyślić miejsca fikcyjnych spotkań. Jako łączniczki podałam: młodszą siostrę i niezgodnie z jej urodą nazwałam ją "Brzydula", a na drugą wybrałam swoją przyjaciółkę i "ochrzciłam" "Skrzatem". Obydwie przebywały za granicą więc nic im nie groziło, a przy podchwytliwych pytaniach na temat ich wyglądu miałam pewność, że się nie pomylę. O nazwiska nie pytali, wiedząc, że nie wolno nam było przedstawiać się wzajemnie. Dokładnością i precyzją opisów najwidoczniej zmyliłam czujność i przekonałam przesłuchujących mnie śledczych o swojej prawdziwości. Niemniej, w następnych dniach zażądali dodatkowych informacji, więc zrozumiałam, że funkcjonariusze NKWD stale dyżurują w parku. Ubawiło mnie to, lecz gdybym tylko mogła wcześniej przypuścić, że moi oprawcy wydadzą polecenie długotrwałego wyczekiwania na zmyślone łączniczki, na pewno wskazałabym jako miejsce spotkań śmierzące wysypisko śmieci, a nie jeden z najpiękniejszych parków na świecie.

Po powrocie do celi, kierując się względami ostrożności, powtarzałam wersję przyjętą w czasie zeznań, nie ujawniając stanu prawdziwego. Usiłowałam jedynie zabarwić sprawozdanie humorem w celu rozproszenia złych nastrojów i przygnębienia.

Mniej więcej dwa tygodnie po moim aresztowaniu, miałam bardzo sugestywny sen. Mój Ojciec nie żyjący od 1935 roku, tuląc mnie w ramionach, zapowiedział zbliżające się ciężkie przesłuchania i nakazał trzymać się dzielnie. O różnych metodach bicia i maltretowania więźniów, w celu wydobycia zeznań już co nieco słyszałam, postanowiłam więc ochronić swoje plecy sposobem możliwym w danych warunkach. Opowiedziałam sen i prosiłam o pomoc. Pomimo wątpliwości wyrazu, który ukazał się na twarzach współwięźniarek, serdecznie podeszły do sprawy. Pomogły upiąć ręcznik frotté na plecach, przyczepiając górną jego część do stanika. Dolną wsunęłam pod szeroki pas podwiązkowy chcąc w taki sposób przeciwdziałać skuteczności bicia. Wieczorem, gdy wprowadzono mnie do sali przesłuchań, od razu zorientowałam się, że w kilku mieszkaniach oddanych do dyspozycji AK wykryto skrytki, a część zarekwirowanych przedmiotów leżących na stole pochodziła z mojej garsoniery. Nigdy nie dowiedziałam się, kto zdradził tę skrytkę.

Od tego dnia przesłuchania zwiększyły swoją częstotliwość i stały się brutalne. Wzywano mnie wieczorem i przesłuchiowano do godzin rannych. Długotrwałym indagacjom towarzyszyło perfidne znęcanie się, takie jak: oślepienie strumieniem intensywnego światła, sadzanie na stołku bez jednej nogi i zmuszanie do utrzymania na nim równowagi, przy czym każdemu przechyłowemu towarzyszyło uderzenie w plecy. Ponadto bili w plecy i pośladki, stopy i otwarte dłonie, które aż krwawiły. Tego rodzaju wymuszanie zeznań, noc po nocy bez odprężenia i odpowiedniego dziennego wypoczynku potwornie męczyło, i utrudniało skupienie przy odpowiedziach. Aby zwiększyć czas do namysłu i nadać moim wyjaśnieniom cechy prawdopodobieństwa, udawałam, że nie rozumiem pytań zadawanych po rosyjsku, i domagałam się ich przetłumaczenia. Powtarzanie wersji, których treść na poczekaniu była zmyślana, wymagało wielkiego wysiłku pamięciowego. Pytania były zadawane bardzo szybko, jedne po drugich, wraz z rzucanymi przekleństwami. Dużą satysfakcję sprawiało mi, gdy odpowiedzią dało się śledczego zdenerwować i wyprowadzić z równowagi, choć zdawałam sobie sprawę, że czym mocniej zadrwię, tym boleśniejsza będzie zemsta wymierzona z pasją, którą odczuję na własnej skórze.

Kapitan Jakubowski starał się w różny sposób mnie załamać. Fakt przechowywania w skrytce przedmiotów pochodzących ze zrzutów wykorzystał jako dowód współpracy z wywiadem angielskim. Postawienie ciężkiego zarzutu miało sprowokować ujawnienie pozostałych na wolności kolegów z konspiracji. Na dzień wracałam z badań do celi tak zbita, że pomimo stale noszonej grubej ochrony z ręcznika, mogłam tylko stać na zakrwawionych stopach lub klęczeć. Ta gehenna trwała nieprzerwanie przez siedemnaście nocy, w tym dwukrotnie zamykano mnie na dzień w karcerze, bez podawania posiłków, a w następną noc kontynuowano dochodzenie.

Główny nurt badań toczył się w złym kierunku. Z niezrozumiałego dla mnie powodu stale zadawano mi to samo pytanie:

- Kto u was pracował na kolei?

Natomiast ja - zgodnie z prawdą - odpowiadałam:

- Nie wiem.

W końcu śledczy kazał tłumaczcze odczytać powiadomienie znalezione w schowku pod podłogą. Okazało się, że zaszło nieporozumienie, wynikłe z błędnej interpretacji treści pisma, co spowodowało, że całe dochodzenie zostało skierowane na złe tory. W

tekście znalazły się słowa: "Przesyłamy akumulatory, z kolei przyślemy (...)". Rzecz prosta, zwrot "z kolei" odnosił się do następnej przysyłki i nie miał nic wspólnego z kolejnictwem. Zrozumiałam ich pomyłkę. Tyle godzin, tyle nocy zmarnowali daremnie. Poczulałam dziwną satysfakcję i przyjąłam ją jako rekompensatę za mój ból i cierpienie. Nie wytłumaczyłam im, w czym tkwi błąd, tylko roześmiałam się, a gdy spojrzalam na ogłupiałe, a zarazem wściekłe, niczego nie rozumiejące twarze swoich oprawców, wybuchnęłam wprost histerycznym śmiechem. Łzy popłynęły mi z oczu, nie zdołałam ich powstrzymać. Płacząc, śmiałam się, w końcu zemdlałam. Wzięli to za atak szału. W rezultacie znalazłam się w izbie chorych, pod czułą opieką sanitariusza.

Dobrze i spokojnie tam było, niestety dość szybko powróciłam na twardą podłogę w celi. Od tego dnia śledztwo wyraźnie złagodniało i częstość przesłuchań zmalała. Mniej więcej w tym samym czasie Helena została wezwana do swojego śledczego, skąd powróciła bardzo zdenerwowana. Nie umiała opanować wzburzenia i z miejsca zarzuciła mi, że byłam nieszczerą wobec współtowarzyszek, gdyż nie mówiłam im całej prawdy o swojej pracy w AK. Na skutek tej wypowiedzi uświadomiliśmy sobie, kto przekazywał śledczemu treść rozmów w naszym zespole.

W kilka dni po tym incydencie zostałam przeniesiona do innej celi. Gdy zatrzasknięto za mną drzwi, zaskoczył mnie niezwykły widok. W skłębionej masie półnagich ciał, nie potrafiłam odróżnić pojedynczych postaci. Był skwarny, letni dzień. Więźniarki leżały stłoczone, spocone, umęczone. Z braku przepływu powietrza, w przepelnionym pomieszczeniu panował silny zaduch. Po dłuższej chwili i dla mnie znalazło się skąpe miejsce. Cella była większa od poprzedniej, lecz przebywało w niej kilkanaście Ukrainek, Niemka i Łotyszka. Z ostatnimi dwiema trudno było się porozumieć ze względu na barierę językową, ja zaś słabo mówiłam po niemiecku, a Ukrainki wcale nie znały języka.

W tym czasie wydano mojej rodzinie zezwolenie na podawanie paczek żywnościowych. Zazwyczaj zawartość ich docierała do moich rąk mocno uszczuplona. W pierwszej przesyłce otrzymałam między innymi: ściereczkę luźno tkaną, mały płócienny woreczek napełniony cukrem i kotlet schabowy, w którym przy kości znalazłam przemyślnie wpiętą igłę. Poprułam więc ściereczkę, uzyskując w ten sposób cenne nici, których drogą oficjalną nie sposób było przesłać. U góry płóciennego woreczka wyhaftowałam kilka próśb, założyłam brzeg szepiając zakładkę ozdobną mereżką i przy następnej okazji odesłałam do domu.

Rodzinę moją, kochającą się i głęboko zżytą, cechowało wzajemne zrozumienie, toteż gdy otrzymały z powrotem zwykły woreczek upiększony mereżką, od razu zrozumiały, że może w tym kryć się jakiś podstęp. Zaczęły dociekać, co chcę im w ten sposób przekazać. Patrząc pod światło niczego nie zauważyły, pomimo to spruły brzeg i odczytały moje prośby. Następne grypsy były już obszerniejsze, gdyż przysłano mi grafit wyjęty z ołówka i cieniutki papier. Od tego czasu pisałam "listy" na wąskich centymetrowych paskach papieru, które również wszywałam w obrębek woreczka, ale już bez mozolnych mereżek.

W więzieniach obowiązywał przepis nakazujący natychmiastowy zwrot opakowań z dostarczonych przesyłek, lecz i to rozporządzenie potrafiłyśmy przechytrzyć. Siostra uszyła dwie jednakowe torby, umieściła jedną w drugiej, lekko szepiając je z sobą. Gdy otrzymałam następny prowiant, współtowarzyszki celi zasłoniły mnie przed czujnym okiem strażnika i zagadywały go tak długo, aż rozdzieliłam torby. Jedną zwróciłam, druga z żywnością pozostała w celi. Przy następnych przesyłkach nie oddawałam

torby stanowiącej opakowanie, lecz tę drugą, zawczasu przygotowaną do zwrotu. Obie torby miały podwójne dna i tam przekazywana była obustronnie korespondencja.

Nie żywiłam specjalnej sympatii do Ukrainek po smutnych i tragicznych doświadczeniach z lat okupacji, ale wspólna niedola zbliżyła nas. Pochodziły one spoza Lwowa i straciły kontakt z domem. Za pomocą grypsów przekazałam ich adresy mojej siostrze, która powiadomiła rodziny o miejscu pobytu aresztowanych. Zaczęły więc do nich napływać paczki. W pierwszej przesyłce znalazł się duży wieniec cebuli, ja miałam cukier. Dzieliłyśmy cebulę na listki i do wkłknięcia wsypywałyśmy odrobinę cukru. Był to wielki przysmak przy niewybrednym żywieniu więziennym. Od tej chwili z różnych wsi zaczęły pojawiać się typowe dla ich mieszkańców produkty, takie jak masło, sery, jaja i pachnące domowej roboty kielbasy. Mówią, że gdy żołądek pełny, poprawia się humor, tak było i z nami. Rozpoczęły się ciche śpiewy, tęskne dumki, potem coraz głośniejsze zabawy i śmiechy. W końcu zapomnialiśmy, że w celach można było mówić tylko szeptem. W rezultacie wkroczyli do celi strażnicy, uznano mnie za inicjatorkę zabawy i zostałam zamknięta w piwnicy.

Gdy śledczy karał karcerem, służba więzienna starała się łagodzić w nim pobyt. Nieraz dozorca cichaczem podał wrzątek lub okruchy chleba albo surową marchew, zapewne wyjętą z przesyłki przeznaczonej dla innego więźnia.

Teraz, gdy zostałam wysłana do karceru za łamanie obowiązujących przepisów, strażnik solidaryzując się z kolegami, traktował mnie już nie z surowością, ale wręcz z sadyzmem. Rozebraną do koszuli, bosą, wepchnięto mnie do ciemnej piwnicy, zalanej błotnistą mazią, sięgającą po kostki. Przesuwałam się bezradnie z wyciągniętymi przed siebie rękoma, szukając oparcia. W końcu natknęłam się na wystający słupek kamienny. Miałam więc do wyboru: stać na nim lub usiąść, mocząc nogi w błocie. Muszla klozetowa była nadbita i gdy wyłączano wodę, w otworze kanalizacyjnym, pomimo stale panującego mroku, zauważyłam ślepią szczura. Na mój przeraźliwy krzyk podszedł do drzwi strażnik, ledwie uprosiłam go o podanie patyka, bym mogła nim odstraszać niepożądanych towarzyszy. Myślałam o tragicznych losach Polaków, którzy przede mną poznali te podziemia i wielu z nich wymordowano. Swojej przyszłości jeszcze nie znałam, modliłam się i to dodawało mi otuchy. Po trzech dniach powróciłam na górę, serdecznie witana przez Ukrainki. Ofiarowały mi kolorową chustę na głowę, która była przydatna w podróży na wschód. Wszystkie moje rzeczy leżały ładnie wyprane i poukładane. Nie spożyły również produktów przysłanych ze wsi, czekając na mój powrót z karceru, by móc się nimi ze mną podzielić.

W tej celi po zaistniałym incydencie przebywałam niedługo - moje śledztwo dobiegło końca.



Fot. 1. Wanda Chwastowska-Bystram.
Zdjęcie z ok. 1939/40



Fot. 2. Julian Wiktor. Komendant V Oddziału Łączności Operacyjnej (Lwów-Stanisławów-Tarnopol). Zdjęcie z ok. 1938 r.



Fot. 3. Kamienica pp. Drexlerów, współwłaścicielką była Irena Chwastowska, matka Autorki wspomnień (w latach 30-tych).



Fot. 4. Politechnika Lwowska. Od strony tego gmachu nadeszła łączniczka Grażyna, z którą W. Chwastowska miała wyznaczone spotkanie na ul. Mickiewicza.



Fot. 5. Lwów. Park Stryjski - jeden z najpiękniejszych w Europie parków.



Fot. 6. Uniwersytet Lwowski. Stąd rozpoczęła się trasa Wandy Chwastowskiej w ostatnim dniu wolności.

**Wszystkie fotografie ze zbiorów
Autorki wspomnień**



Fot. 7. Lwów. Po prawej - fronton kościoła o.o. Bernardynów, w którym w razie udanej ucieczki Wanda Chwastowska miała się spotkać z siostrą.